

Nr. 18. ZŁOTE KSIĄŻECZKI dla Dzieci i Młodzieży

I 290.234

WYSPA PŁYWAJĄCA

Napad „Sępiego Pazura“.



NAKŁADEM „NOWEGO WYDAWNICTWA”
WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 141.

5000

8/8

1030V

ZŁOTE KSIĄŻECZKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

WYSPA PŁYWAJĄCA

Napad „Sępiego Pazura“

Napisał M. MIMAR.

z ilustracjami



NAKŁADEM „NOWEGO WYDAWNICTWA“
WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 141.



ZAKŁADY GRAFICZNE
JÓZEF POPIEL I S-ka
CHŁODNA 27 TEL. 77-45.

290.234

ROZDZIAŁ I.

Zaskoczona Czwórka.

W połowie XVIII-tego stulecia, Kanada stanowiła jeszcze kolonję francuską i jako kraj dziewiczy zupełnie, zamieszkiwany przez dzikie szczepy Indjan, z których najwięcej wojowniczo usposobieni Mohikanie dawali się we znaki nielicznym kolonizatorom rasy białej, służyła z mnogości wszelakiego rodzaju zwierzyny. Zwierzyna ta, nie licząc jeleni i burch niedźwiedzi, dostarczała wielce cenne skóry faktorjom angielskim, utrzymującym stałe stosunki z najrozmaitszego rodzaju myśliwcami.

Ci ostatni rekrutowali się przeważnie z osobników nie mających zazwyczaj nic do stracenia. Byli to emigranci ze wszystkich końców świata. Francuzi, Niemcy, Anglicy, Holendrzy, którym ziemia, jak to mówią paliła się pod nogami i którzy z jakich bądź powodów nie mogli we własnej ojczyźnie znaleźć sobie więcej spokojnego sposobu życia.

Cechowały ich: szalona odwaga, żelazne zdrowie, pogarda dla wygod cywilizacji starego konty-

mentu i siła fizyczna. Mogli oni bez wytchnienia przebiegać niezmiernie przestrzenie równin, wzgórz, i nietkniętych siekierą lasów w poszukiwaniach za jakąś krwiożerczą bestją, której wspaniałe futro w centki, prążki lub inne właściwości więcej jednolitego zabarwienia, obiecywało pewną zapłatę w tej lub innej faktorii.

Wśród tych oto myśliwych, mniej więcej około 1750 roku zasłynęła czwórka strzelców, którzy obrali sobie teren między źródłami rzeki Św. Laurencjusza a jeziorami Eri i Ontarjo. Byli to: Szkot Demps Ruy, olbrzym o karku bawolim i mięśniach Herkulesa, Anglik John Persi, długi, chudy, pływak niezłomowany, Holender Van Doye, krórego kule nie chybiały nigdy celu i Szwajcar, Szwabele ceniony przez towarzyszy bardzo za gospodarność i zręczność przy przeprowadzaniu handlowych interesów wspólki.

I oto dobraną tę czwórkę pewien lipcowy poranek zaskoczył na niewielkiej wysepce, szerokiej już dość w tym miejscu rzeki, przy zdejmowaniu skóry z przepyszego rogacza, którego udało im się nareszcie dopędzić.

Zwierz, wytropiony przez trzech psów, Dżeka, Dżaka i Boya, z legowiska w gęstym lesie, trafiony dwukrotnie przez Van Doya, unosząc kule Johna i Dempsa szedł jeszcze dobrych parę kilometrów aż, przepłynąwszy głębiej padł, osaczony przez psów, obficie zlewając posoką murawę i gęste zarośla.

Wysepka jak się rzekło, była niewielka, rosło

Jednak na niej parę drzew, a brzegi jej okalały krzaki i pnie wyrwanych do góry korzeniami w pół zgniłych olbrzymów leśnych, których tęgie gałęzie, jeszcze żywe i liśćmi porośnięte, oplatały ljanę i pokrywała pękami jemiola. Środek wysepki przedstawiał w ten sposób rodzaj niewielkiego kotłowiska w którym myśliwi mogli się rozłożyć obozem wygodnie. Znużone konie puszczono na murawę, Demps Ruy zabrał się do ćwiartowania zdobyczy, obdzielając psów jelitami, Szwalbele znosił na kupę zeschnięte liście i spróchniałe korzenie, zamierzając rozniecić wśród piasku i kamieni ognisko, gdy naraz John Persi, zajęty przyglądaniem się okolicy, wyprostował się i przyłożył dłoń do czoła, jakby pragnął dojrzeć coś w blasku słońca.

— Hej, Doyel—zawołał na Holendra, wylegującego się w cieniu leniwie. — Rusz-no się i spojrzysz ku lasowi na tę łączkę — jeśli się nie mylę, to coś się na niej dziwnie porusza!

Holender wstał niechętnie.

— Co ci znowuż przeszkadza? — mruknął niezadowolony, iż przerwano mu zasłużony odpoczynek. — Bizunów tutaj przecież nie widzieliśmy, a znowuż pędzić jelenia...

Ledwo jednak spojrział we wskazanym kierunku, już spoważniał znacznie.

— Ohol... przysięglbym, że się nie mylisz Johnie. Coś się rusza istotnie. Wolalbym nawet, żeby to były bizona, ale...

Zawahał się chwilę i Demps Ruy porzucił robotę.

— Jakie ale, co za ale? — zagadnął zaciekawiony i rozgarnął krzaki, zasłaniające mu widok dalekiego horyzontu. W oddali, tuż pod siną linią zalesionych przestrzeni, skąd właśnie pędzili tutaj twojego rogacza, wznosił się niski obłoczek, kurzu, który wzbijać mogli albo stadem idące zwierzęta, albo chyba jedynie konni.

— Czyżby nam niebo zsyłało naprawdę bizonów?—pomyślał jak zwykle głośno i już zatarł swoje szerokie dłonie.—Przedwczesne ukontentowanie jego trwało jednak aż nazbyt krótko; wyprowadził go z błędu Szwalbele. Ten miał wzrok sokoli, pozaczem rozumował chłodno.

— Bizony tu o tej porze?!... Wstydz się Demps. Taki jak ty stary myśliwy, możesz przypuszczać podobne nedorzeczości. Przedewszystkiem bizonów z tej strony Świętego Laurencjusza nie spotykaliśmy nigdy, po drugie nie biegną one po wschodzie słońca do wodopoju przecież, a step się za nimi nie pali tylko las stoi, las, w którym nie żerują!

— To więc cóż podług ciebie taką kurzawę nieci? — zapytał już niecierpliwie Persi.

— Kto?... — odparł Szwajcar, nie spuszczać oczów z coraz to rosnącego obłoczka. — A któżby jak nie te czerwone djably?...

Z ust trzech pozostałych towarzyszy wyrwał się jeden przeciągły okrzyk niemiłego zdumienia.

— Czerwone djably?...

A Szwalbele ciągnął dalej nieubłaganie logiczny.

— Tak, tak, czerwone djably! Natknęli się na nasze ślady i po śladach za nami idą. Nie mówiłem wam, że tu, na prawym brzegu rzeki wchodzimy na ich posiadłości? Przecież nie dalej, jak w sam dzień Wielkiejnocy tego roku, mieliśmy z nimi tę sławetną rozprawę o burego niedźwiedzia, właśnie na prawym brzegu. Trzeba było mnie słuchać. Za byle rogacza możemy zapłacić cenę, której nie zwróci nam żadna faktorja.

Zarzuty były słuszne zupełnie. Nikt nie śmiał im oponować, jeden flegmatyczny Holender zdobył się na wycedzoną przez zęby uwagę.

— Wszystko byłoby w porządku, gdyby posiadłości tych miedzianych papug, miały jakieś widoczne granice. A tak, czy to na prawym, czy to na lewym brzegu, wszędzie mogą nas napaść te lotry, zdjąć nam czupryny z czaszek i zabrać proch, kule i strzelby, bo o to im się najwięcej rozchodzi. Zastanówmy się raczej zaraz, jak uniknąć tego wcale niepożądanego spotkania?

Wszystkich oczy spoczęły teraz na Persim, jako na prawdziwym przywódcy czwórki i suchy Anglik zmarszczył czoło.

— Mojem zdaniem — rzekł, rozglądając się dookoła po dalekich przestrzeniach obu brzegów rzeki, — najlepiej byłoby nam przycupnąć. Jak na złość w tem miejscu, poza tą wysepką, nie widzę żadne-

go ukrycia. Jeżeli istotnie zwęszyli nas Mohikanie, to na gładkiej równinie nie łatwo im ujdziemy, musimy się tu bronić. Pozycja jest wspaniała, lepszej nie znalazłby i najuczeńszy strategik; mam nadzieję, że nas tu nie dostaną i że wreszcie drogo sprzedamy nasze skalpy.

Ledwie dokończył tych słów, kiedy obłoczek kurzu przybliżył się już na tyle, że rozróżnić w nim było można, pędzących w pełnym galopie ludzi o brązowych twarzach, przybranych w całe pęki piór, mieniących się w promieniach wstającego słońca, całą tęczą jaskrawych kolorów.

Nie podlegało już najmniejszej wątpliwości, że byli to czerwonoskórzy.

Dopadli piaszczystego brzegu rzeki i poseskaliwali z koni.

Teraz czterej strzelcy mogli się uważać za zwyciężę, tropioną przez bardzo wytrwałych myśliwych.

ROZDZIAŁ II.

Kłamana przyjaźń, a właściwe zamiary.

Przez dłuższy przeciąg czasu, tak na małej wyspie wśród leniwo płynącej rzeki, jak i na piaszczystym brzegu panowała cisza i grobowe niemal milczenie.

Mohikanie, zbadawszy dokładnie ślady pozostawione przez jelenia, psów i strzelców i wskazujące najwyraźniej na przeprowienie się przez rzekę tych ostatnich, rozsiedli się półkolem i odbyli krótką naradę.



Przemawiał energicznie, jakby wydawał jakieś rozkazy. (Str. 10).

Konie ich, puszczone luzem, wyszukiwały sobie wśród rzadkiej, spalonej żarem słońca zieleni jakiegoś pożywienia, gdy Indianie kiwali głowami, potakując widocznie słowom swego wodza.

Znajdowało ich się nad rzeką czterdziestu ośmiu, o ile Szwalbele nie pomylił się w rachunku. Wszyscy byli młodzi, wszyscy ożywieni zamiarem jakiegoś przedsięwzięcia i wypoczęci doskonale, jakgdyby tylko co wyruszyli ze swych wigwamów, na łowiecką albo i wojenną wyprawę. Posiadali łuki, włócznie, tomahawki, ale i broń palną: strzelby z długimi lufami, z których to Mohikanin zazwyczaj nie chybia. Wódz ich, jeden jedyny mężczyzna starszy i doświadczeńszy prawdopodobnie, miał na sobie niezliczoną ilość najrozmaitszych ozdób i amuletów. Głowę jego zdobił istny djadem z kogucich ogonów, z rąk nie wypuszczał angielskiego sztućca, zdobytego niezawodnie na jakimś mniej szczęśliwym przeciwniku białym, gdy każde jego przemówienie przyjmowane było przez pozostałych wojowników z okazywanem mu bezwzględnem zaufaniem.

Przemawiał energicznie, jakby wydawał jakieś rozkazy, które objaśniał odpowiednimi gestami.

— Jeżeli się nie mylę — mruknął Persi do towarzyszy, obserwujących ruchy Indian po przez gęste krzewy — to ta czerwona mała zamierza osaczyć nas i z drugiego brzegu rzeki. Patrzno Ruy jak on wyznacza swym opryszkom posterunki.

Rzeczywiście, Indianin wskazywał poza wyspę

na prawo i lewo, poczem kilkunastu dzikich podniosło się z ziemi, siadło na koni i ruszyło w dwie przeciwne strony.

— Masz słuszość Persi, jak zawsze — odparł Szkot Anglikowi. Biorą nas w krzyżowy ogień, będziemy mieli tęą robotę.

Flegmatyczny Holender niebardzo brał rzecz na serjo.

— Wielki interes! Wielu ich tam jest tych nagusów? Około pięćdziesięciu powiada Szwalbele?... Pięćdziesiąt strzałów wystarczy. Ręczę ci Persi za każdą moją kulę.

Nie wyglądało to na przechwałki. Kto znał Van Doyego, ten wiedział, iż mówi prawdę, lecz słowa jego tym razem wywołały śmiech towarzyszy.

— A krzaczki? — zapytał Ruy, wskazując na zarośnięte miejsca przeciwległego brzegu.

— A te drzewka? — dodał Persi — co oprócz krzaczków tam rosną i za pniami których może się ukryć po kilku rabusiów?

Szwajcar był także zdania, że sprzątnąć Indjanina można tylko wtenczas, gdy on się na cel wziąć pozwoli i mniemał, że lepiej liczyć w danym wypadku na wybieg mniej więcej dyplomatyczny, niżli na bodaj najpewniejszą kulę.

— Narazie poczekajmy. Ja znam Mohikanów to są politycy. Oni nas tak na surowo nie zjedzą, ani bez odpowiedniej przedmowy nie zaatakują

Nie pomylił się wcale. Indjanie, skończywszy

naradę, powstali z kucek, podeszli do samej wody i tu, ten, który na wodza ich wyglądał, zwrócił się twarzą ku wysepce, a przyłożywszy do ust dłoń, zaczął w tym opisowym, pełnym przenośni i obrazów narzeczcu swego plemienia.

— Orzeł, który przefruwa powietrze, ryba która igra w wód głębynie, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu. Nikt nie wie którędy one przeszły, dokąd poszły i gdzie się znajdują. Ale biały człowiek dotyka nogą ziemi i oko dziecka łatwo rozróżni kiedy zsiadł z konia i kiedy weszła w wodę. I teraz wojownicy „Sępiego Pazura“ ujrzeli ślady białych ludzi, którzy spłoszyli z lasu jelenia przed świtem jeszcze i zanim jasne słońce zajrzało im w twarzę dopędzili zwierzynę na wyspie. I „Sępi Pazur“ mówi do białych ludzi, aby nie kryli się za drzewami jak płochliwe oseloły i aby wyszli do wojowników jego, którzy chcą być białych ludzi braćmi. Niech się ukáže wódz białych braci i niech mówi do brata swego „Sępiego Pazura“!

— Gadaj sobie zdrów ty czerwona wiewiórko! — mruknął Persi, wyciągając się na ziemi i kładąc przed sobą strzelbę w pogotowiu do strzału — ktoby cię nie znał myślałby, że ma przed sobą kaznodzieja misjonarza. Może mu co odpowiesz Ruy? — zapyta żartobliwie Szkota, znanego ze swej niechęci do zbytnej paplaniny.

Demps wydał pogardliwie usta.

— Odpowiem mu, ale jak go dostanę do garści. Przystanie wówczas mlić językiem na wieki.

Van Doye, który również wyszukiwał dla siebie odpowiedniej pozycji do odstrzeliwania się w razie potrzeby z za powalonego pnia olbrzymiego modrzewiu, przyłożył broń do ramienia.

— Jak on będzie drażnił mnie jeszcze, to wybiję mu kulą przednie zęby.

Czynił wrażenie, że gotów jest natychmiast dotrzymać tej miłej obietnicy i Szwalbele uważał za potrzebne powstrzymać jego zapędy.

— Daj spokój w gorącej wodzie kąpany człowieku — syknął. — Nie budź licha. Dopóki takl zbój gada nie jest wcale jeszcze niebezpieczny. Uważam raczej za więcej pożyteczne mniej go słuchać, a więcej zwracać uwagę na brzeg przeciwległy. Widzę jak jego kawalerzy przepływają się przez wodę tam powyżej i wkrótce będziemy ich mieć poza plecami. A nasza wysepka z tamtej strony jest znacznie gorzej zabezpieczona. Pójdę tam trzymać wartę a i ukryję nasze mustangi.

— A i psom każ leżeć spokojnie — rzucił mu Persi, kiedy Sepi Pazur, przeczekawszy dłuższą chwilę, rozpoczął znowuż przerwana tyradę.

— Czego biali bracia milczą, kiedy „Sepi Pazur“ mówi?... Czy biali bracia nie wierzą słowom „Sepiego Pazura“?... „Sepi Pazur“ nie kłamie nigdy i wie i widzi wszystko, co się na ziemi jego plemienia dzieje. Wie gdzie kryje się jaguar, który zjadł wiele białych ludzi



i którego skóra kosztuje wiele worków prochu i wiele worków kul ołowianych, widzi węża, który prześlizguje się w mchach wielkiego lasu i którego ukąszenie śmierć przynosi. „Sępi pazur“ zna ziele dające życie umierającym i poznał odrazu ilu białych braci schowało się na wyspie wśród wody głębokiej. Jest ich czterech na mustangach szybko nogich, których ledwo dogonić może trzech mocnych psów. Jeden z białych braci, jest wysoki bardzo, bo stojąc koło drzewa złamał gałąź, którą „Sępi Pazur“ mógłby dotknąć ręką tylko z siodła, drugi brat biały waży wiele, bowiem kopyta jego konia pozostawiają głębsze od innych koni odciski, trzeci brat jest takiegoż wzrostu co i czwarty, gdyż obydwaj, przejeżdżając przez gęstwiny drzew, zdarli siatkę pająka na jednej i tej samej wysokości, a kiedy jeden z nich ma długi nóż, którym przecinał zasłaniające mu drogę ljanę, to drugi uzbrojony jest w tomahawk, którego cięcia zostawiły ślady na korze drzew. „Sępi Pazur“ nie kłamie, bo widzi i wie wszystko; niechżeż biali bracia przestaną milczeć i niech zostaną gośćmi „Sępiego Pazura“ w jego obszernym wigwamie.

— Jeszczeby tego brakowało! — zauważył Ruy ironicznie. — Ten zbój myśli naprawdę, że ma z dudkami do czynienia. Byłbym ostatnim osłem, gdybym dał się przekonać jego jaszczurczej mowie!

— Phil — odpowiedział Persi, — nie sądź mój drogi, że on sam sobie wierzy. Papele, żeby zyskać na czasie, a nie dałbym ogona wiewiórki, że część

jego sławetnych wojowników pogalopowała po posiłki, kiedy część szykuje się uderzyć na nas ztyłu. Dobrze, że Szwalbele ma ich tam na oku.

W tej chwili donośny huk wystrzału rozdarł powietrze.

To Szwajcar, barykadujący się na wysepce od przeciwległego brzegu, przyjmował rozzuchwalonych dzikusów, którzy pewni podstępu, kiedy „Sępi Pazur“ zajmował „białych braci“ swą wymową, rzucili się wpław ku niemu.

W jednej chwili sytuacja się zmieniła.

„Sępi Pazur“ odrazu zapomniał o swej roli brata.

Skoczył w bok i skrył się za krzewami. Wojownicy jego również znikli gdzie który zdołał unieść swą papuzią głowę. Z obydwuch brzegów rzeki rozległ się wściekły okrzyk wojenny, na wysepkę posypał się grad strzał, trzymany już na pogotowiu, kilka długich flint wypaliło i John Persi poczuł jak jedna z kul przestrzeliła mu filcowy kapelusz.

— Bydle! — zamamrotał, zdejmując przedziurawione nakrycie głowy — o pół cala niżej, a byłbym nie zdążył napisać testamentu. Doyel słuchaj!... — zwrócił się do Holendra — odplać ty im za moją stratę. Kapelusz kosztuje kilka dolarów.

A Doye już mierzył w sam czubek wyniosłej topoli, który chwiał się dziwacznie przeciwko wiatrowi.

Hukło znowuż i wspinający się na drzewo Indjanin zleciał z niego na piasek jak gruszka.

Wykrętna dyplomacja ustępowała miejsca pewnej wojnie.

ROZDZIAŁ III.

Walka. Nowy podstęp i nowa zdrada.

Położenie czterech strzelców stało się odrazu poważne.

Indjanie podzielili się na dwa równe oddziały i z dwóch przeciwległych brzegów rzeki atakowali wyspę.

— Wzięli nas w dwa ognie! — burknął Persi nie bez pewnego zakłopotania, gdyż obrona wydała mu się teraz dwa razy już ciż trudniejszą.

— Jeżeli te łoty wykażą nieco więcej męstwa niż zazwyczaj, to wszyscy jesteśmy zgubieni, — dodał, nabijając co prędzej swoją dwururkę.

— Na szczęście broni i prochu mamy pod dostatkiem — zauważył Ruy, kładąc przed sobą dwa pistolety, które nosił za pasem.

— Jestem zdania, aby Doye, przeniósł się na tamtą stronę do Szwalbelego, a przedtem przyniósł nam karabiny, które leżą pod siodłami.

Persi kiwnął mu głową pospiesznie.

— Ależ naturalnie. Inaczej Szwalbele nie powstrzyma tej trzody, chociaż na tych dzikusów wystarczy jeden strzał celny. Powiedziałbym nawet, że byłoby nawet lepiej, gdyby w każdej parze jeden

z nas tylko strzelał, a drugi nabijał tylko strzelby. Ponieważ każdy z nas, prócz karabinu ma jeszcze dubeltówkę możemy dać w razie potrzeby w pewnych odstępach po sześć strzałów z każdej strony. To uniemożliwi dawanie salw, podczas których nieraz mierzy się do jednego i tego samego celu, nie licząc, że wiele kul idzie na marne. A czerwonoskórzy liczą na to właśnie i najchętniej atakują w gromadzie... O... jak i terazl...

Wskazał spojrzeniem przed siebie.

Właśnie rozpoczęło się takie masowe natarcie, przyczem Mohikanie wyskoczyli z zarośli w kilku miejscach, wpadając do wody rozciągniętym frontem i odkrywając „ogień“ — prawdziwie tyraljerski.

Na szczęście strzał nie zdołali wypuścić zbyt wiele; paru z nich zaledwie wypaliło z długich fuzji, a jedna z kul musnęła prawy policzek Holendra, który właśnie podniósł się z za kłody w zamiarze niesienia pomocy Szwajcarowi.

Van Doye, zaklął wściekle, co mu się rzadko zdarzało; krew płynęła mu po twarzy.

— Ach, wy bestjel... Celujcie jak się należy! Nienawidzę takich niedołęgów!

Przyłożył dubeltówkę do ramienia, powiódł lufą po linii głów upstrzonych i zanim rozwiął się dymek dwóch strzałów, chwycił już za karabin.

W długim szeregu Indjan powstawały nagle przerwy.

To ten, to ów czerwonoskóry dawał nurka żeby

barwić swą krwią powierzchnię wody, a że i Persi i Demps nie próżnowali bynajmniej zdziętkowani wojownicy „Sępiego Pazura“ zmykali na swój brzeg ile siły.

Wkrótce słyhać było tylko pukanie karabínu Szwalbelego, któremu trudniejsze wypadło zadanie.

Z tamtego brzegu rzeka płynęła mniej wartko i miejsce głębokie było znacznie węższe. Kilku dzi- kim udało się przedostać do samej wyspy.

Szwajcar walił już z pistoletów, szykując się do ręcznego boju. Trzech olbrzymiego wzrostu przeciwników godziło na niego długimi włóczniami, gdy czwarty krępy, tłusty, obrzydliwie tatuowany i cały w czerwonych pasach Mohikanin pędził po płaskiej już wodzie z wielką maczugą wywijając nią młynka.

Jedna chwila, a straszna ta broń roztrzaskała- by głowę Szwajcara niechybnie, gdyby Van Doye i Demps, spostrzegłszy niebezpieczeństwo, nie pospieszyli z pomocą w porę.

Kula Holendra powaliła przysadkowatego tł- ściocha, który plusnął w wodzie, wzbijając wysokie fontanny, gdy Szkot, odbiwszy włócznię kolbą kara- binu chwycił za gardło jednego z olbrzymów i rzucił nim o przybrzeżny kamień z taką siłą iż rozmiądzzył mu głowę zupełnie.

Przyjęcie to ochłodziło i tutaj zapał reszty na- pastników; cofnęli się i z tej strony na całej linii, pokazując Holendrowi swoje miedziane plecy, do któ- rych mógł celować skutecznie.



— Odpląć ty im za moją stratę. Kapelusz kosztuje kilka dolarów. (Str. 15).

Wybierał sobie więc ofiary, wykrzykując po każdym strzale.

— A nie odwracaj się do mnie zbóju tyłem, bo tego nie lubię! A patrz mi w oczy łotrze, bo cię na całe życie okaleczę!.. A weździesz chłopczyku i tę kulę na pamiątkę!.. Van Doye się nazywam i wspominajcie sobie o mnie w waszym wigwamie!..

Gwałtowny ten atak, który zakończył się dotkliwą stratą Indjan w trzech zabitych i kilku ciężko rannych, nie mógł oddziałać na wojownicze usposobienie „Sępiego Pazura“.

Wódz ten, uważany przez swoich za nieustraszonego, a nazywający się sam chętnie niezwyciężonym, nie docenił widocznie swoich białych braci, sądząc, iż doskonała broń, kilka worków prochu i kul, skóra jelenia, jelenia pieczeń, mustangi, psy a i reszta majątku myśliwców dostanie mu się wraz z ich skalpami za cenę kilku podrapań jego wojowników. Widok trupów i krwi skierował jego myśli na porzuconą drogę dyplomacji.

Namyślał się nad tem dość długo. Również długo na obu brzegach rzeki panowała głęboka cisza.

Jakby po burzy, która rozszroiła się piorunami, ustępując wreszcie miejsca jeszcze piękniejszej pogodzie, nad terenem zawziętej walki świeciło znów słońce, złocąc spieczone poprzednim żarem trawy i igrając złotymi odbłaskami w bujnej zieleni drzew, przeglądających się swemi koronami znów spokojnej powierzchni wartko toczącej się rzeki.

Czterech myśliwych mogło teraz w ciszy rozważać szanse dalszej swojej obrony. Żaden z nich bowiem nie łudził się nadzieją, że odparci narazie Mohikanie skorzystają z nauczki i dadzą dalszym usiłowaniaom za wygraną.

John Persi, jako najdoświadczeńszy, twierdził przeciwnie, że straty poniesione przez Indian przyczyną się raczej do wzmocnienia ich uporu.

— Czerwonoskóry ma w sobie coś z natury wilczej. Wszelki opór doprowadza go do wściekłości. Jeśli nie uda im się sięgnąć nas zębem zatną się i legną stadem dookoła pewni, że nie dziś to jutro wezmą nas bez wysiłku głodem.

Demps Ruy zachichotał złośliwie.

— He he hel... Jelenia nam wystarczy na tydzień. Ogień rozpalimy bez obawy, boć przecież wiemy, że tutaj siedzimy. A jak mnie głód dokuczy to gotów jestem własnymi rękami wydusić ich wszystkich jak kuraków. Nie radzę ze mną żartować wtedy.

— To prawda — potwierdził Holender, przyglądając się bicepsom towarzysza skręconym w supły i skręty na obu ramionach. — Możebyś ich wydusił do jednego, żeby każdy z nich zechciał spokojnie doczekać się swojej kolejki, ale ja wolę tymczasem pomyśleć o czemś więcej rzeczowem.

A na to jakby czekał Szwalbele.

Podpełził krzakami do pozostawionych koło koni worków i wracał stamtąd z flaszą whisky.

— Niema na troski lepszego leku jak para łyków tej wody ognistej. Żeby nasi czerwoni bracia wiedzieli, że mamy ze sobą tego nektaru baryłkę nie zmykaliby tak przed naszymi kulami. Mnie się zdaje, że „Sępi Pazur“ właśnie alkohol węszy i znowuż zechce przemówić do naszych serc braterskich.

Okazało się, że Szwajcar miał przeczucia wprost wieszcze.

Nie zdążyli się bowiem strzelcy pokrzepić sucharami skrapianemi wódką, kiedy z tamtej strony rzeki ponad stożkowatym krzewem tuż ukazała się biała plachta, zawieszona na ostrzu włóczni.

Demps Ruy miał się już zerwać na równe nogi, kiedy Persi, uchwycił go za pas i przytrzymał na miejscu.

— Ani mi się waż wychylać głowy. Wystarczy im pokazać kawałek chustki.

Zdjął z szyi szalik nieco wątpliwego koloru, zatknął go na końcu lufy karabinu i wysunął ponad pnie, za którymi leżeli.

— Zobaczmy, co chcą te czerwone djabły.

— Za chwilę na piaszczystym brzegu stanął „Sępi Pazur“ i, przykładając jak za pierwszym razem do ust dłoń w kształcie tuby, rozpoczął do-dośnym głosem swą zwykłą piosenkę obłudy.

— Biali bracia są mężnymi i umieją śmierci partzieć prosto w oczy. „Sępi Pazur“ nie boi się kuli i kocha białych braci, którzy jedli serce pantery i wątrobę burego niedźwiedzia. Biali bracia zabili

wojowników „Sępiego Pazura“ ale, „Sępi Pazur“ i jego wojownicy chcą zapalić fajkę pokoju z białymi braćmi i piec przy jednym ogniu wielkiego tura, który chodzi po tamtej stronie rzeki.

— Aha! — mruknął Persi. — Innymi słowami ten łotr zaprasza nas na wspólne polowanie. Słuchajmy dalej.

A „Sępi Pazur“ ciągnął dalej, coraz więcej zapewniając o swojej wspaniałomyślności.

— Wielki tur ma dużą, dużą rodzinę. Dwadzieścia razy tyle co „Sępi Pazur“ ma palców u jednej ręki. Wojownicy „Sępiego Pazura“ potrafią dobrze pędzić wielkiego tura na celne strzały białych braci i biali bracia mogą zabić dużo, dużo żon i dzieci wielkiego tura i mieć tyle skór ile tylko zobaczą ich oczy i zabiorą ich mustangi. Ani „Sępi Pazur“, ani jego wojownicy nie wezmą żadnych rogów, żadnych ogonów z zabitego stada wielkiego tura, prócz trochę mięsa, które zanoszą do swych wigwamów i wojownicy „Sępiego Pazura“ zostaną na zawsze dobrymi braćmi dobrych białych braci i zawsze będą pędzić wielkiego tura na ich celne strzały. Niech wódz białych braci pokaże swą twarz „Sępiemu Pazurowi“, niech otworzy usta i niech powie czy chce palić fajkę pokoju, czy chce aby „Sępi Pazur“ załknął tomahawk między jego a swoimi braćmi?

I znowuż Demps chciał zerwać się z ziemi.

— Pozwól Persi — zawołał — niech odpowiem temu nicponiowi!

Persi jednak trzymał go w garści mocno.

— Czekaj — rzekł — z tym starym lisem należy zachować wszelką ostrożność. Ja na to mam swój sposób wypróbowany.

— Oto, widzisz, mój kapelusz i tak już przedziurawiony wytknę na karabinie ponad naszą barykadę i będę chciał niby gadać, a Van Doye, który przecież za każdy strzał swój ręczy, niechaj z boku przez ten krzaczek weźmie na cel te tam zarośla. Widzi mi się, że w jednym miejscu pogrubiały niektóre jałowce. Ty Ruy możesz także to zrobić poprzez te konary oplecione ljanami. Upolujem pewno znowuż paru zuchów.

Za chwilę kapelusz Persi'ego wyrastał ponad spróchniały pień modrzewiu, a głos Anglika zadźwięczał metalicznie w powietrzu.

— „Sepi Pazurze“, wodzu wielkiego plemienia Mohikanów, mówi do ciebie człowiek biały, którego chcesz nazywać bratem, któremu ofiarujesz fajkę pokoju, a którego napadłeś zdradziecko jak chytry jaguar, który z ukrycia skacze na kark przechodzącego do wodopoju bizonu. Jeżeli chcesz ze mną i z moimi braćmi polować na wielkiego tura to zostaw nas teraz w spokoju. Niechaj bracia twoi wyjdą z ukrycia, niech siędą na konie i niech odjadą ku lasowi i niech ci wojownicy, którzy zaszli nam drogę na drugim brzegu przyłączą się do ciebie i do nich, a jak znajdziecie się wszyscy na odległość strzałów z fuzji to wyjdzie jeden wojownik z twojej strony i jeden

strzelec z mojej i będą palić fajkę pokoju, poczem zapolujemy wspólnie i podzielimy wspólne łupy.

John Persi mówił wolno, wyraźnie, a za każdym słowem kapelusz jego wychylał się coraz wyżej ponad naturalną barykadę z przegniłych pni leśnych olbrzymów. Już wychylił się całkowicie, już z przeciwległego brzegu niezawodnie widać było jego rondo, pod którym musiała się znajdować twarz człowieka, gdy z podejrzenie wyglądających jałowców huknęły strzały, kapelusz zawirował na lufie strzelby i, trafiony kulami, spadł o kilka kroków na ziemię.

Jednocześnie niemal dał ognia Holender i Demps a wycie bólu świadczyło, że strzały ich nie były daremne. „Sępi Pazur“ mimo swojego zapewnienia, że kuli się nie boi, błyskawicznie skoczył za pień topoli, lecz Persi jeszcze szybciej podniósł się, zmierzył, wypalił, patrząc już z zadowoleniem, jak wódz wielkiego plemienia Mohikanów wywracał poza drzewem koziołka.

— Dosięgłem tego łotra. Otrzymał odemnie pamiętkę. Obawiam się tylko, że się z niej wylize i że za godzinę zobaczę go znowuż z przewiazaną łapą.

Godzina jednak minęła, a Indianie nie ponawiali ataku. Już Persi był skłonny wywnioskować, że „Sępi Pazur“ otrzymał postrzał śmiertelny, kiedy wielki wrzask po obu stronach rzeki zmroził czterem myśliwym krew w żyłach.

Czerwonoskórzy otrzymali posiłki.

ROZDZIAŁ IV.

Rozpaczliwe położenie. Domysł Johna Persi. Wysiętek Szkota. Pływająca wyspa.

Z chwilą kiedy oba brzegi rzeki zaroily się od wojowników „Sępiego Pazura“ czterej myśliwi zrozumieli, że męstwo ich na nic się nie przyda.

— Jakżeż można liczyć na powodzenie kiedy napada stu na jednego? — pytał się Szwabele jakby samego siebie, gdyż żaden z towarzyszy nie miał ochoty zastanawiać się nad podobną niemożliwością,

ilu znajdowało się Mohikanów tam po jednej i po drugiej stronie wyspy doliczyć się było trudno. Holender wdrapował się na drzewa o ile mu gąszcz liści na to pozwolił, przyglądał się wrogom długo, ale nie kusił się nawet porachować ich wszystkich. Wyniósł tylko wrażenie, iż przedstawiali kupy wielkie, może po dwieście, może i po trzystu ludzi.

— Powinno być ich więc pięciuset a może i więcej wszystkiego — zakonkludował Persi i rozciągnął się na ziemi.

Demps Ruy machnął potężną ręką.

— Ha nol Długo trzeba będzie mlócić tę słomę aby z niej wymłócić ziarno. Tymczasem zjadłbym co, gdyż nudzi się człowiekowi wyczekiwać śmierci na czczo.

Podniósł się i nie zważając, iż głowa jego wystaje ponad barykadę, stanowiąc cel dla zatrutej

strzały jakiego Indianina, jał krzątać się koło rozniecenia ogniska.

— Nie darowałbym sobie, gdyby te mały wraz z moim skalpem zdobyły jeszcze tak mozolnie upolowanego jelenia. Nikt nie przeszkadzał mu w tem zajęciu. Dla wzniesienia ognia nie było żadnej przeszkody. Zresztą tak Anglik jak i Holender i Szwajcar z przyjemnością skosztowaliby soczystej pieczeni.

— Nieobecność dymu i ognia nie przekona przecież dzikich, że nas tutaj na wyspie niema. Natłukliśmy ich już dosyć, aby nas za duchów nie brali — mruknął John i, nie zmieniając miejsca, pogrążył się w zadumę głęboką.

— Robi pewno rachunek sumienia — mamrotał Szkot, łamiąc gałęzie i dorzucając je do ognia, który wkrótce rumienił apetycznie potężny comber obracany na tycie przez Van Doyego.

— To prawda, że zawsze przyjemniej umierać po obiedzie — potwierdził Holender, kiedy jedynie Szwajcar bacznie przyglądał się ruchom nieprzyjaciela, który przecież teraz ze wzmożoną siłą powinien był ponowić akcję zaczepną.

Tem niemniej spokój i cisza, pogwałcone powitalnymi okrzykami powracały niepodzielnie dookoła i nawet wielki początkowo ruch ustawał powoli; snujący się tu i owdzie konni i piesi kryli się za krzewy i w zarośla, aż wreszcie obydwaj brzegi rzeki załęgła całkowita martwota.

— Szykują się, szykują bestyjki — zapewniał

Szwalbele ze swego punktu obserwacyjnego. — Wy-
skoczą lada chwila, już ich prawie widzę.

Ale słońce pochyliło się znacznie ku zachodo-
wi, comber jeleni upiekł się znakomicie i pachniał, łask-
kącąc podniebienia, a ani jeden Mohikanin nie zdradził
ochoty do atakowania białych braci.

Takie położenie rzeczy zaciekawiało już nie-
zwykle.

Pokrzepiwszy się, Persi, postanowił osobiście
z badać zagadkę. Suchy, żyłasty, lekki i zwinny do-
stał się na sam czubek najwyższego na wysepce
drzewa i zsunął się wkrótce zadowolony z poczynio-
nych spostrzeżeń.

— Wiem już. Zbóje wrócili naprawdę z po-
lowania na bizonów. Cały ten czas byli zajęci ćwier-
towaniem upolowanych sztuk. Teraz rozkładają ognie,
będą piec, będą się raczyć wzajemnie i dopiero jak
skończą biesiadę zaborą się do nas na deser. Szy-
kujmy strzelby i karabiny.

Ale i te przypuczzenia rozwiła rzeczywistość
wkrótce.

Zaszło słońce, gęstniał mrok a po obu brzegach
zalegała cisza, niezamacona ani jeden głos nie zdradzał
żadnych przygotowań wojennych.

— Nażarły się juchy i pospały jak węże boa
po połknięciu baranów — zapewniał Demps.

— Albo sprzykrzyła im się ta zabawka — do-
rzucił Van Doye.

Lecz i te domysły okazały się złudne.

Ledwo zapadła noc czarna wzdłuż obu brzegów po jednej i po drugiej stronie wyspy zapłonęły liczne i daleko ciągnące się ognie, na tle których zarysowały się ciemne figury czerwonoskórych.

„Sępi Pazur“ nie myślał porzucić swoich białych braci i w dół i w górę rzeki rozstawiał gęste czaty.

— Piszmy testamenty — odezwał się Van Doye, nadrabiając miną. — Moją dwururkę przeznaczam temu, kto ją odbije z rąk „Sępiego Pazura“. Mam przeczucie, że dostanie się ona do jego łap nieprawnie.

— Przestań kpić — skarcił go Szwalbele — Jak tylko słońce wzejdzie ta banda czerwonych małąp opadnie wyspę ze wszystkich stron i już nas żaden święty od śmierci nie uratuje. Polec raczej swą duszę Bogu.

— Bóg jest wielki — mruknął Demps, mimo wszystko spoglądający chmurnie. — Niech się dzieje wola Jego święta.

W cieniu, w którym leżał widać było błyski dogasającego ogniska, przeglądające się w jego źrenicach. Ten olbrzymi człowiek, obdarzony niezwykłą siłą nie chciał umierać w kwiecie wieku. Łudził się może, iż w jego tęgich garściach zginie niejeden zaciekle napastnik, powoli jednak i do jego duszy wciśkała się rezygnacja przed wyrokami, których nie zdołał ująć żaden człowiek.

Czas dłuższy na wyspie panowało milczenie ponure.

Nagle Persi, leżący do tej pory bez ruchu zerwał się na równe nogi. Na twarzy jego widać było jakieś dziwne ożywienie.

— Słuchajcie — zagadał spieszenie do towarzyszy. — Zdaje mi się, że znalazłem dla nas wyjście.

Demps, Szwalbele i Ruy usiedli na ziemi.

— Gadaj a żywol — zaciekawiał się Szkot, nie ukrywając wzruszenia.

— Zdaje mi się, zdaje mi się... — ciągnął Anglik — że...

I nie kończąc, począł rzucać z siebie ubranie.

— Stracił zmysły — szepnął Holender do Szwajcara zdumiony, John jednak nie słyszał nic i nie myślał słuchać nikogo.

Momentalnie zbył się swej kurtki, obuwia i mokasinów i cichutko pełzył na brzeg, z którego bez szelestu zanurzył się w wodzie.

Głębia była tu odrazu znaczna. Długi Persi zniknął pod wodą bez śladu, a trzech pozostali myśliwi czekali na jego powrót długą przydługą nawet minutę.

Przez minutę tę przeszły, im przez głowy różne myśli i dopiero pojawienie się Anglika znowuż przyniosło im rozwiązanie.

Persi, który pływał jak ryba, w wodzie, po dnie rzek głębokich chodził jak po ziemi, wynurzył się i teraz w tem samem miejscu, a choć łapał powietrze łapczywie, wyglądał tak jak powinien był wyglądać Kolumb, kiedy nareszcie odkrył Amerykę.

— Znalazłem... znalazłem... — powtarzał.— Do-
mysł mój sprawdził się zupełnie... Jesteśmy wyra-
towani...

Trzeba było poczekać dobrą chwilę zanim ura-
dowany Anglik mógł wyjaśnić swą tajemnicę.

— Ja zaraz to wiedziałem.. Zaraz miałem choć
niejasne przecucie... Oto widzicie — ciągnął, dła-
wiąc się wyrazami — wyspa ta, to... to wyspa pły-
wająca... To taki kawał podmulonego brzegu rzeki,
taki cypel z wywróconemi pniami drzew, który por-
wany przez prąd wody oderwał się i spłynął na śro-
dek koryta. Spłynął może z bardzo daleka i popły-
nąłby może jeszcze dalej, gdyby nie korzenie tych
wywróconych drzew, z których jeden najcięższy za-
czepił się tu o dno kamieniste. Namacałem go do-
kładnie tylko oderwać nie miałem siły... Jeżeli więc
Demps, który uderzeniem pięści powala wołu...

Nie zdążył skończyć myśli, kiedy Demps już
bez ubrania zsuwał się z brzegu. Nie pytał o szczegó-
ły, wiedział sam co mu robić wypada i ledwo znikł
w ciemnej głębi trzej pozostali poczuli wyraźnie jak
ziemia im drży pod nogami.

Trzy wstrząsy potężne świadczyły, że olbrzym
czyni nadludzkie wysiłki. Trzy wstrząsy jeden po dru-
gim, jeden od drugiego silniejszy. Nareszcie pod
wodą trzasło coś głucho, coś zabulgotało po rzece.
Wysepka jak puszczone w ruch koło zakręciła się
z wolna i popłynęła z prądem w dół rzeki.

Demps wynurzył się na samem jej końcu.

Wgramolił się na pień drzewny z trudnością i otarł twarz dłonią. Z nosa szeroką strugą płynęła mu krew.

— To nic, to nic — mruzczał. — To tylko tam na dnie zabrakło mi trochę świeżego powietrza.

A pływającą wyspę niósł prąd wartki, coraz szybciej, coraz dalej wzdłuż brzegów upstrzonych ogniami, przy których czuwały warty, wspartych na drzewcach włócznie czerwonoskórych.

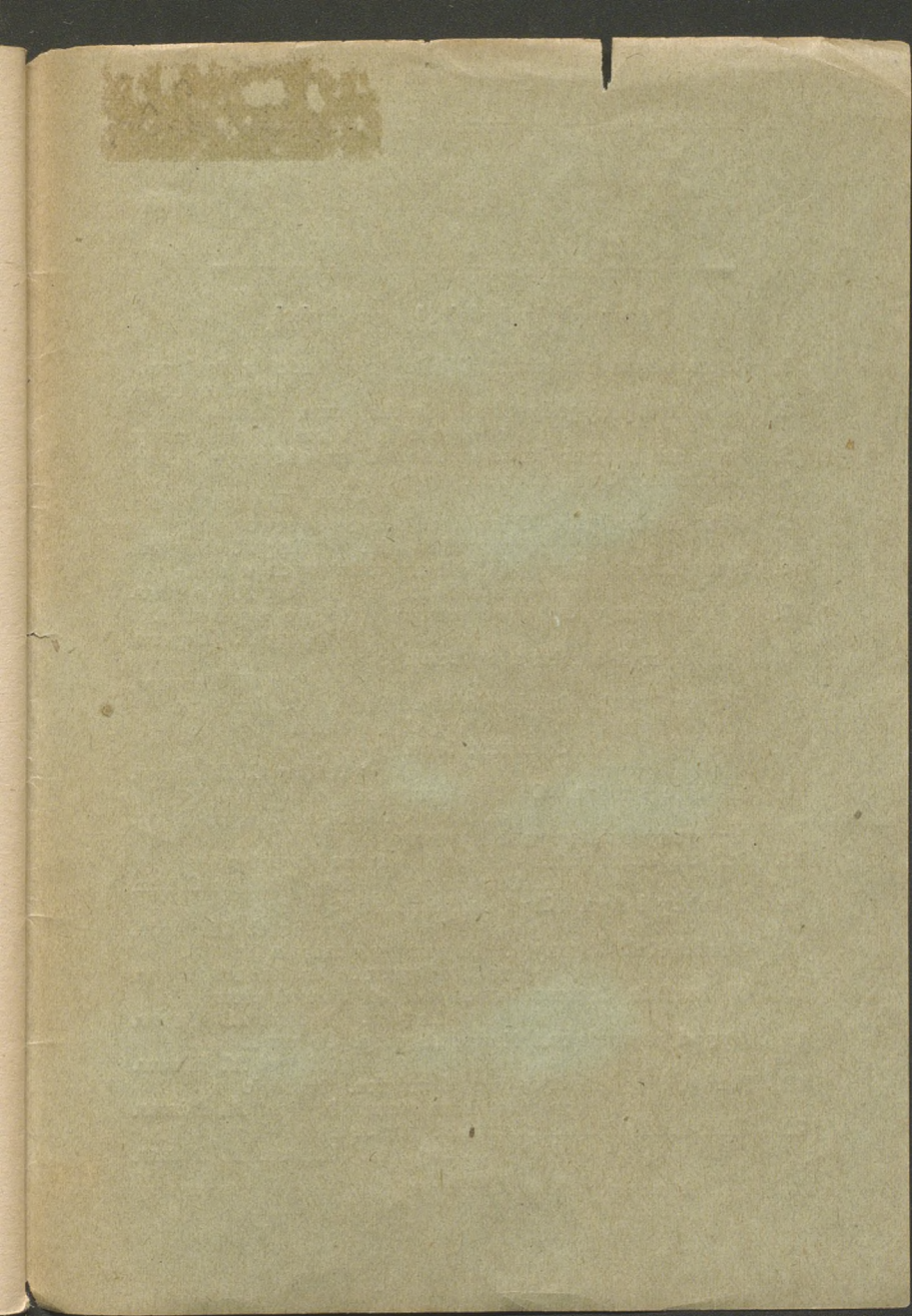
Jeden z Indjan, gdy wyspa zbliżyła się nieco do brzegu jął wpatrywać się w ciemności, ale że ogień jego przygasał właśnie, nie zdołał nic dojrzeć w jego słabym blasku.

Wschód słońca zastał strzelców kanadyjskich już zbyt daleko od tego miejsca, gdzie spodziewał się ich dosięgnąć „Sępi Pazur“.

K O N I E



7572/30



12 SRP 1930

I 290.234

Złote Książeczki

dla dzieci i młodzieży

Nowy zbiór bajek i opowiadań.

1. **Asem i królowa nimf.** Według opowieści z tysiąca i jednej nocy.
2. **Osobliwe przygody Sindbada żeglarza.** Według opowieści z tysiąca i jednej nocy.
3. **Przygody barona Munchausena.** Opowieść fantastyczna.
4. **Talizman.** Opowiadanie historyczne.
Podług *Waltera Scotta.*
5. **Wierna przyjaźń.** Opowiadanie z czasów wojny o niepodległość.
Podług *F. Coopera.*
6. **Syn dżungli.** Przygody białych podróżnych w dziewiczych lasach Ameryki.
Podług *F. Coopera.*
7. **Król puszczy.** Osobliwe przygody białego wojownika.
Podług *F. Coopera.*
8. **Unkas, czyli ostatni z walecznego rodu.**
Podług *F. Coopera.*
9. **Oliwer Twist.** Dzieje sieroty.
Podług *C. Dickens.*
10. **Dawid Kopperfield.**
Podług *C. Dickens.*
11. **Noc wigilijna.** Opowieść fantastyczna.
Podług *C. Dickens.*
12. **Na dnie statku.** Osobliwe przygody młodego podróżnika.
Podług *Mayne-Reida.*
13. **Przygody dzielnego marynarza.**
14. **Dziecię szczęścia.** Przygody rycerza Kwentyna Durwarda.
Według *Waltera Scotta.*
15. **Dombey i Syn.** Czyli dzieje dobrej córki.
Podług *C. Dickens.*
16. **Wśród Kniei Brazylii.** Tajemnica generała jej książęcej mości.
Napisał *M. Mimar.*
17. **W krainie Czerwonoskórych.** W niewoli plemienia Lengua.
Napisał *M. Mimar.*
18. **Wyspa pływająca.** Napad „Sępiego Pazura”.
Napisał *M. Mimar.*
19. **Przygody w złotodajnej Klondyke.** Historja poszukiwacza złota.
Napisał *M. Mimar.*
20. **Wilk morski u ludożerców.** Opowieść byłego żeglarza.
Napisał *M. Mimar.*